Dorota Simonides

Szczęście w garści

Z familoka w szeroki świat

OPOLE
Wydawnictwo NOWIK Sp.j.
2012

Zamiast wstępu

Czytelnicy tej książki – wspomnień prof. Doroty Simonides – znajdą na jej kartach, między innymi, partie poświęcone wybitnym postaciom świata nauki i kultury, którym Autorka poświęciła laudacje przygotowywane z okazji wyjątkowo ważnych i podniosłych uroczystości. I mnie było dane sporządzenie oceny dorobku naukowego i osiągnięć dydaktyczno-organizacyjnych Pani Profesor, kiedy Uniwersytet Opolski nadawał jej w roku 2008 najwyższą godność akademicką, jaką jest tytuł doktora *honoris causa*. Przedstawiłem w tej recenzji zarówno imponujące dokonania Doroty Simonides z dziedziny folklorystyki, etnologii i literaturoznawstwa, jak i niekwestionowane sukcesy w dziedzinie organizacji nauki i akademickiej dydaktyki, niezliczone odpowiedzialne funkcje, które syntetyzująco można określić mianem zaszczytnej służby dla Polski i ukochanego Śląska.

Kiedy z potrzeby serca zasiadłem do pisania niniejszego słowa wstępnego, postanowiłem w nim wyeksponować nieco inne elementy drogi życiowej opolskiej uczonej, w znacznym stopniu sprzęgnięte z przemyśleniami ukształtowanymi po lekturze *Czarnego ogrodu* Małgorzaty Szejnert, fascynującej książki o Śląsku z roku 2007, w której jednym z najważniejszych wątków narracyjnych są dzieje nikiszowieckiej rodziny Badurów. W odniesieniu zaś do życiorysu Dorki od tychże Badurów, bliźniaczej siostry Alojza, najnośniejszy i oddający istotę rzeczy wydał mi się właśnie zaproponowany wydawnictwu tytuł *Szczęście w garści. Z familoka w szeroki świat*.

Bo też jest to *curriculum vitae* zaiste w znacznym stopniu bajkowe w swej niezwykłości. Oto dziewczyna z typowej górnośląskiej wielodzietnej rodziny, przeżywająca wraz z nią traumę drugiej wojny światowej, ciężko pracująca od najwcześniejszych lat swego życia, uzupełniająca po wojnie wykształcenie podstawowe i średnie trybem wieczorowym, bo inaczej się nie dało, jakimś nieprawdopodobnym hartem ducha i woli decyduje się po zdaniu matury na wyższe studia – najpierw w Krakowie, później we Wrocławiu, zostaje żoną i matką, rozpoczyna pracę nauczycielską w Kędzierzynie, wygrywa zmagania z ciężką chorobą, zdobywa tytuł doktora nauk humanistycznych, by ostatecznie przyjąć od prof. Stanisława Kolbuszewskiego propozycję podjęcia pracy naukowo-dydaktycznej w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, przekształconej później w Uniwersytet Opolski. Robi habilitację, zostaje docentem, profesorem nadzwyczajnym i zwyczajnym, pisze książki i artykuły, promuje magistrów i doktorów, przez wiele lat jest dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, z gościnnymi wykładami odwiedza liczne ośrodki akademickie w Polsce i w całej Europie, zostaje posłem i senatorem, spotyka na swojej drodze osoby

z kart wszystkich encyklopedii, z wieloma z nich wiąże się nićmi trwałej przyjaźni, a intelektualny format i życiowy dynamizm czynią z niej prawdziwego obywatela świata.

Powtarza często, że uznaje się za człowieka szczęśliwego i spełnionego. Myślę, że ma pełne prawo do zobiektywizowania takich odczuć, bo – ukształtowana przez śląski etos pracy, wyniesiony z domu rodzinnego – nic nie dostała za darmo. Wszystko osiągnęła dzięki swemu niezłomnemu charakterowi, niezwykłej pracowitości i samozaparciu. Powszechny szacunek i uznanie zdobyła zaś głównie dzięki swej odpowiedzialności we wszelkich poczynaniach – zawodowych, społecznych i rodzinnych.

Wzrastała wśród odpowiedzialnych ludzi. Odpowiedzialnych i bardzo się kochających. Bo rodzina Badurów z Nikisza to bardzo się wzajemnie kochający rodzice, starzykowie i rodzeństwo. Bo rodzina Simonidesów, którą Dorota stworzyła wraz ze wspaniałym i oddanym mężem Jerzym, a doczekali się oboje dwójki dzieci, czwórki wnuków i trójki prawnuków, to taka sama wspólnota osób odpowiedzialnych i bardzo się kochających. Nie waham się dlatego powiedzieć, że wspomnieniowa książka opolskiej uczonej jest przede wszystkim zapisem najcieplejszych ludzkich uczuć.

W szerszym zaś wymiarze odznacza się pisarskie dokonanie prof. Simonides niezwykłymi walorami dokumentacyjnymi. To kawałek historii Śląska z najbardziej znanymi postaciami tego regionu w tle. To historia zupełnie wyjątkowej dla tamtych generacji drogi śląskiego dziecka – w dodatku dziewczyny! – z robotniczego Nikiszowca na salony nauki, kultury i polityki. To też kawałek historii Polski, zwłaszcza tej po roku 1989.

I wreszcie – last but not least – to zarazem wspaniała proza artystyczna, odsłaniająca i takie talenty Doroty Simonides. Znana ze swych naukowych badań nad śląskim humorem, swoiście przekuwa w niniejszej książce teorię na praktykę. Jej pisanie skrzy się błyskotliwym humorem, a większość zawartych w książce opowieści to prawdziwe perełki literackie.

Czyta się więc te wspomnienia jednym tchem, lektura ta zaś przynosi pełnię doznań poznawczych i estetycznych. A i odczuć pozytywnej zazdrości – dopowiem: że oto jednemu człowiekowi dał Pan Bóg tyle talentów i takie ciekawe życie!

Wrocław, wrzesień 2011 Jan Miodek

Od autorki

Niniejsza książka nie jest autobiografią, choć opiera się na prawdziwych wydarzeniach. Nie jest także książką naukową, choć jestem profesorem, ani polityczną, choć przez kilkanaście lat byłam czynnym politykiem. Czym więc jest ta książka? Jest to cząstkowy i subiektywny obraz mojego bardzo bogatego życia.

Snując nić wspomnień, widzę moich uczciwych, pracowitych, życiowo mądrych dziadków i rodziców, kochające rodzeństwo, życzliwych sąsiadów, nauczycieli i kapłanów, rozważnych naukowców, działaczy społecznych i polityków, a nade wszystko – mego męża, życiowego partnera „na dobre i na złe" oraz nasze dzieci, wnuki i prawnuki, i mam świadomość tego, ile im wszystkim zawdzięczam. Z domu rodzinnego i środowiska górniczego wyniosłam nie tylko etos pracy, ale również hierarchię wartości, która mi zawsze pozwalała na wybór właściwego kierunku postępowania. Starałam się te doświadczenia przekazać innym, mając świadomość ich wagi.

Nauczyłam się też dostrzegać szczęście we wszystkim, co nam życie przynosi. Patrząc wstecz, stwierdzam, że największym szczęściem jest spotkanie w odpowiednim momencie właściwej osoby, co mi się bardzo często zdarzało. Jednak trzeba umieć to wykorzystać, włożyć sporo wysiłku i pracy, aby szczęście nie przeszło obok, przez nas niezauważone. Toteż nadal trzymam je mocno w garści, czego wyrazem jest niniejsza książka.

Kiedyś bowiem – na jednym ze spotkań organizowanych przez Panią europosłankę Danutę Jazłowiecką – podzieliłam się częścią moich doświadczeń życiowych. Uznano je wtedy za interesujące i radzono mi je opublikować. Gdy odpowiedziałam, że to już zupełnie niemożliwe ze względu na postępującą i nieuleczalną chorobę oczu, Pani Danuta zaproponowała mi konkretną pomoc. Do współpracy w spisywaniu moich wspomnień wydelegowała zaufaną osobę – Panią Ewelinę Opatowicz, bez której książka ta

nie powstałaby! To ona przepisywała z dyktafonu moją opowieść, służyła pomocą przy przeglądaniu źródeł w archiwach domowych oraz w zdobywaniu i selekcji potrzebnych mi materiałów, za co jestem jej szczerze wdzięczna.

Najgorętsze podziękowania należą się memu mężowi za Jego serdeczne wsparcie i wyrazy otuchy – to Jemu dedykuję tę książkę.

Pragnę także podziękować mojej wnuczce Kasi, Pani Ewie von Lochner oraz Wszystkim tym, którzy zechcieli „być moimi oczami".

Zwracam się także z wyrazami wdzięczności ku mecenasowi kultury, Panu Karolowi Cebuli, który nie ustawał w namawianiu mnie do napisania tej książki, zwłaszcza wtedy, kiedy wydawało mi się, że ważniejsze jest aktywne działanie społeczne niż trwonienie czasu na przywoływanie wspomnień.

W takich warunkach wytworzyła się szczególna więź pomiędzy górniczymi rodzinami. Brała się ona również i z tego, że – jak już wspomniałam – społeczność dawnych familoków była także zakorzeniona w kulturze wiejskiej, a więc była oparta na więziach tradycji chłopskiej, z której przeniesiono wiele zachowań do górniczego środowiska. Toteż dużą rolę w wychowaniu odegrała tradycja ludowa. To ona nakazywała nieść pomoc, na przykład mającej rodzić sąsiadce. Kiedy już byłam starsza, mogłam obserwować te rytuały, bo zawsze, gdy matka lub sąsiadka miała rodzić, prawie cała klatka schodowa uczestniczyła w tym niby zwyczajnym, a jednak nadzwyczajnym wydarzeniu. Jedna kobieta decydowała się wziąć młodsze dzieci pod opiekę, druga gotowała dla całej rodziny, trzecia pomagała rodzącej i położnej, czwarta pilnowała, czy wszystko jest zgodne z wcześniej ułożonym planem. I to było wspaniałe! Nawet jako małe dzieci mieliśmy świadomość istnienia takiego planu działań na nadejście chwili porodu. Mój ojciec, kiedy już był w podeszłym wieku, powiedział mi raz, że nie tylko wśród górników istniało „kamractwo", w którym obowiązywał etos górniczy, ale że podobne zjawisko miało miejsce i wśród żon górników – tam także był rodzaj kamractwa. Położna wiedziała, że mogła liczyć na pomoc sąsiadek, a co ważniejsze, górnik na szychcie nie musiał się troskać o żonę w zaawansowanej ciąży. Wiedział, że tak jak w najgorszej nawet sytuacji kamraci wydobędą go z kopalni, tak sąsiadki pomogą jego żonie w przyjściu na świat nowego potomka.

Istnienie tradycyjnych wzorów postępowania było wówczas wielkim ułatwieniem także w procesie wychowawczym, gdyż nie wymagały one uzasadnienia. Na wszystkie pytania można było odpowiadać: „Tak nakazuje tradycja". Ta nikiszowiecka wspólnota była wtedy naszym najbezpieczniejszym i najbardziej kochanym miejscem życia. Jej silne więzi rodziły się i z faktu, że nasi ojcowie byli codziennie narażeni na niebezpieczeństwo. Dlatego, jak rzadko w którym zawodzie, matki budziły dzieci przed wyjściem ojca do pracy i wspólną modlitwą, żegnając go, uświadamiały nam, że ojciec może kiedyś nie wrócić… A ponieważ czyniono tak w stosunku do dzieci wszystkich familoków, wpajano nam, całej wspólnocie, ten sam etos górniczy.

Kiedy teraz myślę o Nikiszowcu, to muszę stwierdzić, że najbardziej wryły się w moją pamięć widok i zapach hałdy kopalnianej. Może się to wydać dziwne, ale kiedykolwiek wracałam już później do rodzinnego domu, zapach ten witał mnie i łaskotał nozdrza, a był mi tak miły jak świeży chleb wypiekany dawniej w piekarnioku familoka. Nigdzie indziej nie zaznałam już takiego uczucia „bycia w domu", uczucia przynależności do określonej rodziny górniczej, w której wszyscy mnie znali od dziecka, witali z uśmiechem i mówili jak dawniej: „Dorka" – od imienia Dorota.

Urodzona pod trąbą

Matka, Rozalia Badura z domu Wróbel, będąc w ósmym miesiącu ciąży, szorowała w sobotnie popołudnie podłogę w kuchni, co było zwyczajem w familokach nikiszowieckich. Naraz pośliznęła się, wody odeszły, więc szybko powiadomiła sąsiadki, aby

udały się po hebamę (położną). Nikt się wtedy nie domyślał, że u Badurów, którzy byli już szczęśliwymi rodzicami pięcioletniej Gertrudy i dwuletniego Pawła, pukają do bram życia, o miesiąc wcześniej, bliźniaki – Alojzy i Dorota. Widać mój brat bliźniak był dżentelmenem, skoro wyszedł na świat pierwszy, porozglądał się, zaakceptował otoczenie i... dopiero potem mnie dopuścił do bramy. Tak więc ja dostałam jeszcze pół godziny, aby najeść się wystarczająco dużo matczynego wapna. Alojzy podobno miał go za mało, co później przejawiało się tym, że zdrapywał je ze ścian, zjadał i powodował, że dzieci i sąsiedzi ustawicznie wołali do mamy: „Badurko, a Alojz już zaś je ścianę". Rodzice siłą poili go mlekiem, ale bezskutecznie. Kiedy był już górnikiem i wracał później niż zwykle z kopalni, babcia Waleska uroczyście głosiła, że należało go zaraz po urodzeniu poić piwem, a nie mlekiem.

Alojz przyszedł na świat jeszcze w sobotę, przed północą. Kiedy dostał pierwszego klapsa i zapłakał „zgodnie z naturą", wszyscy odetchnęli, że dziecko zdrowe, a matka już po porodzie. Mnie nikt nie oczekiwał. Jak mi o tym babcia później opowiedziała, zrobiło mi się bardzo smutno. W międzyczasie nadeszła niedziela. Po pół godzinie matka – wiem to z jej opowiadań – poczęła się na nowo zwijać z bólu. Hebama była jeszcze przy niej, ponieważ brata czekała pierwsza kąpiel, a i łożysko jeszcze nie odeszło. Zamiast niego ukazała się naraz moja główka. Badania USG wtedy nie było, więc matka nie wiedziała, że nosi bliźniaki! Czuła, co prawda, że ma w łonie dziecko wyjątkowo ruchliwe, ale była przekonana, że to chłopiec, skoro tak kopie. Ponoć mocniej krzyknęłam po otrzymaniu pierwszego klapsa niż mój brat! Nie wiem, czy chciałam tym zaznaczyć swoje miejsce w gronie rodzinnym, czy zrekompensować sobie zignorowanie mnie „już na wstępie", czy po prostu byłam jednak silniejszym noworodkiem.

Ojciec, będąc przez lata dyrygentem górniczej orkiestry dętej, miał w domu dużo instrumentów muzycznych, które z braku miejsca zawieszał na wszystkich ścianach. I tak nad naszym łóżeczkiem, zamiast tradycyjnego obrazka z Aniołem Stróżem prowadzącym dzieci przez kładkę, wisiała błyszcząca trąba ojca. Krewni i sąsiedzi zawsze mówili, że „urodziliśmy się pod trąbą". Potem – przez całe dzieciństwo – do moich obowiązków należało czyszczenie jej sidolem, aby błyszczała jak złoto.

Roczek bliźniaków – zgodnie ze zwyczajem mam mirtowy wianek na czapeczce, a Alojz na rękawie

W dzień naszych urodzin starsze rodzeństwo, Trudzia i Paweł, przywitało nas kokluszem, który przejęliśmy od nich natychmiast. A ponieważ byliśmy bardzo maleńkimi istotkami, w dodatku wcześniakami, więc wezwany lekarz radził przyśpieszyć chrzest. Babcia Waleska, patrząc na nas, miała powiedzieć: „Co za borocki! (biedactwa). Ale Bóg dał, Bóg może i wziąć, chwała zawsze Panu Bogu" i zajęła się organizacją chrztu. Mama, będąca w połogu, leżała w łóżku, a zgodnie ze zwyczajem, sąsiadki i krewne przychodziły – jak pastuszkowie – z darami. Każda kobieta wiedziała jednak, że nie wolno bez formuły zastrzegającej powiedzieć, jacy to jesteśmy dorodni. Zawsze najpierw trzeba było rzec: „O, jakie te maleństwa szykowne – bez uroku". Niektórzy mawiali: „bez przyroku". Intencja była bowiem taka, aby żaden demon, żadne „uroczne" oczy, nas nie skrzywdziły.

Kiedy bliźniaki były już wykąpane, a matka miała opiekę, ojciec nagle zniknął, gdyż – jak babcia Waleska mówiła – musiał „oblać pępowinę". A że miał dwie do oblania, toteż trwało to dłużej niż przy starszej siostrze i bracie. Podobno mama zaczęła się już martwić. Gdy wreszcie wrócił, zaczęła mu czynić wyrzuty, że nie wiedziała, gdzie się podział. Zaś mój ojciec miał odpowiedzieć: „Róziu, ty się o mnie tak nie starej, bo jo zawsze wiem, kaj jo jest". Porzekadło to weszło potem na stałe do naszej rodzinnej tradycji.

Jak bliźniaki cudem ocalały

Niemal w każdą niedzielę, jak nakazywał zwyczaj, rodzice moi wraz z dziećmi udawali się w odwiedziny do dziadków mieszkających dwa kilometry dalej, w Janowie. Tam też zdarzył się nam, bliźniakom, nieomal tragiczny wypadek. Odbywaliśmy tę podróż w wysokim wózku dziecięcym. Dawniej, w latach trzydziestych XX wieku, a i długo jeszcze potem, wózki dziecięce miały wielkie koła. Były modne, ale bardzo niebezpieczne, bo wywrotne.

Dziadkowie mieszkali na pierwszym piętrze typowego familoka kopalnianego: wysokie schody na piętro, długie korytarze, a w nich sporo drzwi do mieszkań. Postawiono wózek z nami przy drzwiach mieszkania dziadków, gdyż spaliśmy. Pięcioletnia siostra Trudzia zaczęła wozić nas po długim korytarzu. Nagle coś ją podkusiło, aby z wózkiem zjechać po schodach na parter. Może już ją znudziło wożenie nas po korytarzu, a może zaczęliśmy się zbyt mocno wiercić i uznała, że zmiana scenerii może nas uspokoić? Trzy stopnie udało jej się wózek z nami utrzymać, lecz gdy jego ciężar przeważył, puściła go, a ten po schodach runął w dół. Łomot, krzyk, straszny płacz – wszystko to w jednej sekundzie zburzyło spokój domowników. Huk był tak potężny, że postawił na nogi nie tylko rodziców, ale oderwał również rozgorączkowanych wujków, ciotki, no i dziadków od zwyczajowej politycznej dyskusji. Natychmiast wszyscy wybiegli z mieszkania i z przerażeniem, jednoczącym zróżnicowane polityczne przekonania, patrzyli na leżący na parterze przewrócony wózek dziecięcy, z którego nie wydobywały się żadne oznaki życia – ani płacz, ani jęk. Wisiała nad nim złowróżbna cisza…

W jednej chwili wujek Antek, najmłodszy z naszych wujków, chwycił biegnącą do niemowląt matkę i nie dopuścił jej do wózka. Ojciec, blady, stał obok i uspokajał naszą

Wracając do konferencji berlińskiej: w pierwszym dniu toczyła się debata właśnie na temat preambuły do traktatu konstytucyjnego i braku nawiązania w niej do chrześcijaństwa. Była już godzina 18.00, kiedy przewodniczący Rudolf Decker, znając moje stanowisko z luźnej dyskusji przy obiedzie, zapowiedział wystąpienie gościa z Polski i wymienił moje nazwisko. Późna godzina, zmęczenie i wysoka temperatura sprawiły, że obradujący na sali politycy drzemali. Pomyślałam: „Muszę coś zrobić, aby ich obudzić!". Głośno i dobitnie powiedziałam, że zacznę od dowcipu. Wzbudziłam zainteresowanie i choć dowcip był stary, opowiedziałam go, bo doskonale korespondował z tematem debaty: „Oto Pan Bóg zawołał anioła i rzekł do niego: «Dawno już nie słyszałem, co się w świecie dzieje. Leć, proszę, do USA i zobacz, co u nich słychać». Anioł pofrunął, wraca i mówi: «Panie Boże, zbroją się i boją się». «To fruń, proszę, do Związku Radzieckiego». Anioł za chwilę wraca i mówi: «Zbroją się i nie boją się». Na to Pan Bóg: «Leć jeszcze do Polski!» Anioł wraca po chwili i mówi: «Ani się nie zbroją, ani się nie boją!». A na to Pan Bóg: «I znowu na mnie liczą»!".

Opowiedziawszy ten żart, stwierdziłam, że tym razem Polacy obiecali Bogu, że może na nich liczyć w sprawie preambuły do traktatu. Uzasadniałam polskie stanowisko, wspierając się mocno argumentacją różnych krajów. Wspomniałam o istniejącym w Kościele od 1956 roku Międzynarodowym Biurze Integracji Europejskiej, które ma swoje agendy w Warszawie i Budapeszcie. Mówiłam o czeskim kardynale Miloslavie Vlku, który był przewodniczącym Rady Konferencji Biskupów Europejskich i, tak jak nasz papież, popierał wyraźnie poszerzenie Unii Europejskiej, gdyż wiedział, że jej fundament opiera się na wspomnianych tu podstawach oraz wartościach z nich wyrastających. Na koniec swojego wystąpienia zadałam pytanie: „Dlaczego Europa boi się Boga?". W odpowiedzi otrzymałam gromkie brawa.

Zadane na forum międzynarodowym pytanie o Boga znalazło się potem w internecie w pięciu językach. Przytaczam jeden mały fragment w języku angielskim: „Berlin Gathering 2004 Discusses Political Responsibility Towards God and Man. Prof. Dorota Simonides, member of the Polish Senat, does not understand why a reference to God should not be included in the (Eu) Constitution. Her simple question is «Why is Europe so afraid of God?»" (zob. http://across.co.nz/IsEuropeAfraidofGod.html). Niestety, zgromadzenie opracowujące Konstytucję Unii Europejskiej nigdy nie podjęło dyskusji na to podstawowe pytanie.

Jak spoliczkowałam Niemca

W pewne październikowe popołudnie wyruszyłam z Warszawy w podróż służbową do Bonn. Pogoda była w tym dniu fatalna. Kiedy przyjechałam na lotnisko, zaczął padać rzęsisty deszcz ze śniegiem, wiatr szarpał koronami drzew, a przejmujące zimno dawało się we znaki. Czekając na samolot, usłyszałam rozmowę dwóch stewardess, że Lufthansa ze względu na złe warunki atmosferyczne odwołała swój lot do Frankfurtu, ale „mój" samolot, obsługiwany przez LOT, miał odlecieć zgodnie z planem. Po pewnym czasie poproszono nas o wejście do samolotu. Zajęłam miejsce przy oknie. Widziałam jeszcze

przed startem, jak kryształki lodu osadzają się na skrzydłach naszego samolotu. Potem podjechała jakaś maszyna i osuszała je. Wolne miejsce obok mnie zajął młody Niemiec.

Kiedy już byliśmy w przestworzach, rozpętała się straszliwa burza. Piorun walił za piorunem. Nie bałam się, ponieważ kiedyś mąż wyjaśnił mi, że samolot, podobnie jak samochód, jest klatką Faradaya, a więc pasażerowie siedzący wewnątrz są bezpieczni. Naraz mocno gruchnęło! Oślepił nas blask. Wtedy dopiero się zaczęło! Mogłabym przysiąc, że do samolotu wpadła czerwona kula, która leciała wprost do kokpitu, mój towarzysz podróży uważał, że był to biały piorun, inni – że niebieski.

Nagle nasz samolot wpadł w bardzo silne turbulencje, kołysał się tak, że bagaże umieszczone w szafkach nad naszymi głowami zaczęły wypadać. W tym momencie stewardesa ogłosiła przez głośniki: „Proszę państwa, nie wolno wstawać! Bagaże proszę zostawić tam, gdzie leżą. Musimy utrzymać równowagę. Będziemy awaryjnie lądować". Tutaj trzeba dodać, że w zasadzie po odprawie paszportowej i przejściu do samolotu jest się już za granicą. Po tym komunikacie siedzący obok mnie młody Niemiec wpadł w histerię. Raptownie wstał z fotela i podbiegł do stewardesy. Chwycił ją za gardło i zaczął krzyczeć: „Mama! Mama!". Dziewczyna była przerażona! Wyskoczyłam z fotela, a widząc jego nieprzytomne oczy, uderzyłam go dwa razy w twarz i powiedziałam po niemiecku: „Proszę mnie złapać za ramię, ja też jestem mamą!". Podziałało. Chwycił mnie za przedramię i to tak mocno, że jeszcze przez kilka dni miałam siniec w tym miejscu. Posadziłam go obok siebie i cały czas wypytywałam: po co przyjechał do Warszawy? Ile ma lat? Co robi? Co studiuje? Zasypałam go pytaniami, aby choć trochę odciągnąć jego uwagę od problemów samolotu. Maszyna był uszkodzona i kontynuowanie lotu do lotniska docelowego we Frankfurcie nie było możliwe. Stewardesa poinformowała nas, że warszawski port lotniczy został zamknięty, więc nie mogliśmy wrócić, a najbliższe lotniska we Wrocławiu i Pradze nie chciały nas przyjąć. Ostatecznie wylądowaliśmy na poznańskiej Ławicy.

W Poznaniu pogoda również była zła – lało i grzmiało. Po trapie zaczęliśmy opuszczać pokład samolotu, była wśród nas matka z trójką dzieci, która we Frankfurcie miała przesiąść się na samolot do Południowej Afryki, gdzie pracował jej mąż. Kierowaliśmy się za załogą w stronę budynku lotniska, kiedy zatrzymała nas straż graniczna. Z bronią wycelowaną w naszą stronę poinformowano nas, że zgodnie z procedurami nie możemy ot, tak sobie, wejść do pomieszczeń, ponieważ nie przeszliśmy jeszcze odprawy paszportowej i jesteśmy ciągle za granicą. Wysunęłam się natychmiast do przodu i zapytałam: „Jak to za granicą? Zwariowaliście? Lądowaliśmy awaryjnie i sytuacja jest nadzwyczajna. Deszcz leje, my nie wiemy, co z sobą robić. Patrzcie na tę matkę z dziećmi!". A strażnicy swoje, że nie mogą nas wpuścić i już! Wtedy przedstawiłam się, że jestem senatorem w podróży służbowej. Ruszyłam do przodu i powiedziałam, że jeśli muszą strzelać, niech strzelają. Pozostali pasażerowie poszli za mną. Wojskowi oniemieli. Weszliśmy do budynku, a tam przywitał mnie wybuch śmiechu zebranych tam osób i komentarz: „Szesnasta osoba do pogrzebu na koszt państwa!". Początkowo nie wiedziałam, o co tu chodzi. Okazało się, że na lotnisku byli inni parlamentarzyści, których samoloty także lądowały awaryjnie w Poznaniu. Dopiero w czasie rozmowy zrozumiałam ich śmiech i komenta-

rze: otóż parlamentarzyści, którzy poniosą śmierć w czasie podróży służbowej, są chowani na koszt państwa. Kiedy o tym rozmawiali, było ich na lotnisku już piętnaścioro, a potem zjawiłam się jeszcze ja. Pasażerowie z „mojego" samolotu zaczęli zadawać mi pytania o to, co dalej, co będzie z ich bagażem? Matka z dziećmi zaczęła płakać. Zrozumiałam, że jeśli nie zacznę działać, będzie źle. Nie wiedziałam jeszcze jak, ale byłam pewna, że coś muszę zrobić!

Najpierw podeszłam do baru i poprosiłam o whisky dla młodego Niemca (ostatecznie dostał ode mnie po twarzy). Teraz i on mnie przepraszał. Potem kolegom senatorom przedstawiłam naszą sytuację. Dowiedziałam się, że ich samoloty były sprawne, a lądowanie spowodowane tylko złą pogodą. Kiedy już deszcz i burza ustały, zdawało się, że mogą kontynuować podróż. Mimo to pod lotnisko nadjechały autokary z odpowiednimi numerami, a przez głośniki informowano, w jakim kierunku odjeżdżają. Kierowały się do Szczecina, Gdańska i Wrocławia. Informacji dla nas, pasażerów lotu do Frankfurtu nad Menem, nie podawano. Nikt się też nami specjalnie nie zajmował. Matka z dziećmi, coraz bardziej zaniepokojona, pytała mnie, co teraz z nimi będzie.

Przy jednym ze stolików zauważyłam załogę naszego samolotu. Potem spojrzałam przez okno – na płycie lotniska stał sprawny samolot, którym leciała grupa senatorów do Szczecina. Obok niego stał nasz samolot, według mnie identyczny. Rzecz tylko w tym, że w nasz uderzył piorun, uszkadzając elektronikę. Zdobyłam się na odwagę i zwróciłam do załogi: „Bardzo przepraszam, jestem senatorem RP i profesorem humanistyki, nie mam zielonego pojęcia o samolotach. Wiem natomiast jedno: Lufthansa nie poleciała, ponieważ załoga postępowała zgodnie z obowiązującą ich procedurą. Wy (LOT) polecieliście, to znaczy jesteście odważniejsi. Są wśród nas pasażerowie z Niemiec, którzy was chwalą. Burza przestała szaleć, deszcz się uspokoił, a na płycie lotniska stoi taki sam samolot jak nasz, ale nieuszkodzony przez piorun. Czy wobec tego nie można lecieć do Frankfurtu tym drugim samolotem, który pierwotnie miał lecieć do Szczecina?". Kapitan na mnie spojrzał i powiedział: „Zaraz widać, że jest pani humanistką. Słyszała pani coś o korytarzach powietrznych, o numerze lotu itp.?". Uparcie trwałam przy swojej – może naiwnej, ale według mnie logicznej – argumentacji. Odpowiedziałam kapitanowi: „Nic a nic nie słyszałam! Wiem tylko, że ten szczeciński samolot wygląda jak nasz i nie jest zepsuty". On kontynuował swoje: „Czy pani ma pojęcie, co się na lotnisku we Frankfurcie stanie, gdy przyleci samolot o innym numerze?". Uniosłam się: „Przecież pan mógłby zadzwonić do Warszawy, do Frankfurtu i gdzie tylko trzeba. Przecież nic nie jest niemożliwe!". Patrzono na mnie, jakbym postradała zmysły. Kapitan warknął, że burza uszkodziła linię telefoniczną. Wtedy wręczyłam mu moją komórkę i powiedziałam: „Proszę dzwonić, gdzie trzeba". Kapitan ją wziął i odszedł na bok. Po upływie pół godziny usłyszeliśmy komunikat: „Pasażerowie lecący do Frankfurtu proszeni są o wejście do samolotu". Oczywiście – do tego szczecińskiego!

Po szczęśliwym lądowaniu we Frankfurcie byliśmy bardzo wdzięczni załodze. Kapitan podszedł do mnie i powiedział: „Czasem trzeba zupełnie inaczej spojrzeć na sytuację. Pani, nie znając się na lotach, myślała jednak logicznie, co okazało się skuteczne". Gdy

wysiadałam z samolotu, otrzymałam oklaski od pasażerów. Pożegnałam się serdecznie z Niemcem, którego wcześniej spoliczkowałam, a matkę z trójką dzieci doprowadziłam do tranzytowego przejścia, przekazując ją niemieckim służbom Lufthansy i opowiedziałam o naszym przypadku. Tak się złożyło, że dwóch pasażerów jechało z lotniska tym samym co ja pociągiem do Bonn. Okazało się, że oni też mieli bilety na lot Lufthansą, które w ostatniej chwili przebukowali na polski samolot. W podróży wypiliśmy po lampce szampana „za zdrowie" Polskich Linii Lotniczych.

Premier Tadeusz Mazowiecki wysyła mnie do Wiednia

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Uczestniczyłam w wieczornym posiedzeniu Senatu, gdy zawibrował mój wyciszony telefon komórkowy. Mogła być godzina 20.00. Wyszłam cichutko i odebrałam telefon na korytarzu. Usłyszałam głos Tadeusza Mazowieckiego, który powiedział, że następnego dnia rano powinien lecieć do Wiednia, aby wziąć udział, razem z wicepremierem Austrii Erhardem Buskiem, w dyskusji na temat członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Tadeusz prosił, abym go zastąpiła i poleciała do Wiednia w celu wygłoszenia naszego stanowiska. Zdębiałam. Jeździłam co prawda do różnych krajów Unii i przekonywałam, by głosowały za rozszerzeniem tej organizacji, ale co innego ja, a co innego Tadeusz Mazowiecki! Jednak jego argumenty o niemożności wyjazdu były przekonujące. Zmiana biletu nie stanowiła żadnego problemu, gdyż w czasie obrad parlamentu „Orbis" urzędował w budynku hotelu sejmowego. Zrozumiałam, że nie mam wyjścia. Istotnie, rano wyleciałam do Wiednia, a po południu zostałam ugoszczona przez austriackiego wicekanclerza Buska. Omówiliśmy krótko nasze wystąpienia, które *notabene* szły „na żywo" przez austriackie TV i radio. Na drugi dzień musiałam prędko wracać do Warszawy, gdyż obrady Senatu trwały nadal i na ten dzień przewidziano głosowania. Jakże dziwnie splatają się czasem przypadki: otóż na lotnisko wiózł mnie z hotelu samochód wicekanclerza Erharda Buska, z którym zdążyłam jeszcze zjeść śniadanie. Gdy tylko przyjechałam na lotnisko w Wiedniu, otrzymałam telefon, że o godzinie 12.00 oczekuje mnie u siebie premier Buzek. Byłam przekonana, że to pomyłka i po niemiecku odpowiedziałam, że właśnie przed kilkoma minutami pożegnałam się z premierem Buskiem! Wyczułam w słuchawce konsternację sekretarki. Jednak w mig pojęłam, że to jakieś nieporozumienie. Powiedziałam, już po polsku, że jestem na lotnisku w Wiedniu i czekam

Mówię w Wiedniu na temat przygotowania Polski do wejścia do UE

Na ratunek Opolszczyźnie

VII

Wielka woda

Jak to zwykle w życiu bywa, najbardziej bolesne wydarzenia przychodzą w najmniej spodziewanej chwili.

Na początku lipca 1997 roku byłam całkowicie pochłonięta organizacją kolejnego posiedzenia Zgromadzenia Parlamentarnego OBWE, które odbywało się wtedy w Warszawie (5–8 lipca). Polscy parlamentarzyści występowali w roli gospodarzy, poza tym razem z prof. Ireną Lipowicz, członkiem Prezydium Zgromadzenia Parlamentarnego, prowadziłam nadzwyczajne spotkanie kobiet, które towarzyszyło obradom plenarnym.

Dom Poselski połączony jest z budynkami parlamentu podziemnym przejściem, toteż kiedy na zewnątrz zaczął padać rzęsisty deszcz (a padał nieustannie przez kilka dni), nie byłam w stanie tego zauważyć. Będąc zaabsorbowana sprawami organizacyjnymi, nie śledziłam sytuacji na zewnątrz, nie słuchałam radia i nie oglądałam telewizji, zaś moja komórka była najczęściej wyłączona. Dopiero pod koniec Zgromadzenia Parlamentarnego, w czasie uroczystego zakończenia, odbywającego się w pałacu prezydenckim, zauważyłam, że jakoś dziwnie nie możemy się wszyscy pomieścić w sali, zrobiło się w niej niezwykle tłoczno. Okazało się, że goście uciekali z ogrodów, gdyż nastąpiło oberwanie chmury.

Następnego dnia, 8 lipca, po zakończeniu obrad parlamentarzyści opuszczali hotel sejmowy i rozjeżdżali się do domów. Właśnie żegnałam się z kimś przed wyjściem z hotelu, kiedy usłyszałam znajomy głos wojewody opolskiego, Ryszarda Zembaczyńskiego: „Czy pani senator wie, że Opolszczyźnie grozi powódź?". Spojrzałam na niego nieprzytomnie, po czym usłyszałam: „Racibórz pod wodą, Nysę czeka ten sam los, a Opole znajduje się

Mąż wpływa wraz z sąsiadami do naszej klatki schodowej

w poważnym niebezpieczeństwie". Wojewoda czekał akurat na premiera Włodzimierza Cimoszewicza, wraz z którym miał helikopterem przelecieć nad Śląskiem Opolskim, aby zapoznać się z powagą sytuacji. „To niemożliwe! Powódź w Opolu?" – pomyślałam. Natychmiast zadzwoniłam do domu i dowiedziałam się, że mąż z synem i wnukiem czuwają. Centrum Zarządzania Kryzysowego na bieżąco informowało o wysokości fali powodziowej na Odrze i wyglądało na to, że nasze mieszkanie – na wysokim parterze – wiele nie ucierpi. Z ulicy do klatki schodowej mamy osiem schodów, a w klatce do mieszkania kolejnych osiem – Jerzy wyliczył, że w najgorszym wypadku wysokość wody w naszym mieszkaniu może osiągnąć 30 cm. Z domu do syna Piotra, do Kępy (7 km od Opola) wywieźli jedynie komputery, resztę zabezpieczyli. Wydawało się więc, że nie powinno nam nic zagrażać.

Nieświadoma zbliżającego się kataklizmu, w skupieniu prowadzę obrady OBWE w Warszawie

To mnie jednak nie pocieszyło, pełna niepokoju wróciłam tego dnia z Warszawy do domu. Na miejscu dowiedziałam się, że mamy około 50 godzin do tzw. wielkiej fali. Wieczorem przenieśliśmy się z mężem do syna, a mieszkanie w Opolu zamknęliśmy, myśląc, że jest to wystarczające zabezpieczenie, gdyż nawet przy największych powodziach nie zarejestrowano fali wyższej niż notowana w kronikach.

Była godz. 2.00 w nocy. Nie mogłam spać, byłam coraz bardziej niespokojna. „Uwaga, uwaga! Nadajemy komunikat Wojewódzkiego Sztabu Przeciwpowodziowego – usłyszałam w radiu – Racibórz i Nysa pod wodą, kulminacyjna fala zbliża się do Opola!". Coraz bardziej bałam się o nasze mieszkanie. Jest ono pięknie położone w najstarszej części miasta – na wyspie Pasiece, między kanałem Młynówką a Odrą. Spokojne miejsce w zieleni, a równocześnie w centrum Opola. Wystarczy przejść przez tzw. Most Groszowy, wyłącznie dla pieszych, a już się jest w tętniącym życiem sercu miasta. Zanim przed trzydziestu laty kupiliśmy to mieszkanie, mąż przejrzał jakieś źródła mówiące o dawnych powodziach, nawet tych katastrofalnych. Nic nie zapowiadało w tym rejonie klęski.

Tej nocy byłam ogromnie zdenerwowana, miałam bardzo złe przeczucia. Zbudziłam męża i syna, i pojechaliśmy do mieszkania, aby coś zrobić, chociaż spakować książki. Niestety, sytuacja na wyspie różniła się diametralne od tego, co przewidywano – wysoka woda nadchodziła bardzo szybko. Nie było już na nic czasu! Piotr zdążył zabrać jedynie telewizor (swoją drogą to ciekawy problem psychologiczny, wart zbadania, dlaczego wszyscy ratowali telewizory? Czy jest to zakodowany w nas symbol łączności ze światem? A może wartość materialna, którą najłatwiej za jednym zamachem wynieść

z mieszkania?), kiedy służby porządkowe zaczęły nas ponaglać, aby jak najszybciej odjeżdżać z wyspy. Zdążyliśmy jeszcze przełożyć część książek na wyższe półki, naiwnie sądząc, że woda ich tam nie dosięgnie. Wszystko to wykonywaliśmy przy świecach, gdyż prąd dawno wyłączono.

W pewnej chwili jeden z policjantów nakazał nam natychmiast opuścić mieszkanie i wyprowadził nas z niego. Kiedy byłam już za progiem, nagle wyrwałam się policjantowi i z impetem wpadłam do jednego z pokoi, aby jeszcze coś z niego uratować. Bezmyślnie otworzyłam szafkę, chwyciłam jakąś rzecz, i w tym momencie policjant złapał mnie za ramię, kierując ku drzwiom wyjściowym. Jak się później okazało, w ręku mocno zaciskałam... puste pudełko po francuskim kremie do twarzy. Potem uświadomiłam sobie, że każda kobieta, prosta czy wykształcona, parlamentarzystka czy gospodyni domowa, zachowuje się w panice w podobny sposób. Ledwo ruszyliśmy z wyspy, a ja krzyknęłam rozpaczliwie: „Stop, stop. Zawracajmy. Nie pogasiliśmy świec i mieszkanie nam spłonie". Do dziś pamiętam słowa wypowiedziane wtedy przez policjanta: „Pani senator, zapewniam panią, to mieszkanie nie spłonie".

Tyle pozostało z naszej sypialni

Dosłownie kilka minut później czterometrowa fala wody, silna i niszcząca, wciskając się do naszego mieszkania, wypchnęła wszystkie okna i drzwi! Teraz byłabym mądrzejsza, otwarłabym je i zaprosiłabym ją do środka. Może nie utracilibyśmy całego mienia? Może wszystko nie byłoby tak zmiażdżone i potrzaskane. Drewniane ramy łóżka trzeba było łopatą wygarniać, a połamane meble zbierać jak klocki. Nawet zamrażarkę i lodówkę woda podrzuciła pod sam sufit. Mieliśmy w oknach solidne, drewniane żaluzje („poniemieckie"), które – jak nam się wówczas wydawało – miały chronić przed podsłuchem SB i przed wodą. Na nic się nie przydały – ani na to pierwsze, ani to drugie.

Długo, bo aż dziesięć pełnych dni, woda stała na wyspie. To teren depresji, między Odrą a kanałem, woda nie miała więc gdzie spłynąć. Dziesięć dni stało moje mieszkanie w żarze lipcowym, w wodzie – początkowo wysokiej po sam sufit – w której było więcej szlamu niż cieczy. W składzie owej cieczy znajdowało się wszystko, co woda napotkała na swojej drodze – był więc olej opałowy, używany przez znajdujący się naprzeciwko Konsulat RFN, chemikalia z zalanych zakładów chemicznych, zwłoki utopionych zwierząt oraz niesłychane ilości śmieci, a w tym wszystkim zniszczone meble, książki, odzież,

Spis treści

Zamiast wstępu **5**
Od autorki **7**

I. Dzieciństwo pod hałdą **9**
Wspólnota familoków 9
Urodzona pod trąbą 11
Jak bliźniaki cudem ocalały 13
Codzienne odkrywanie świata 15
Rodzice i dziadkowie 22
Lata szkolne 27
Wielkie i małe niezwykłe wydarzenia 29
Gry i zabawy 38
Historyczna wizyta ciotki z Niemiec 42

II. Z łóżkiem w szeroki świat **47**
Ta okropna wojna 47
Praca w kurii. Ukończenie szkoły powszechnej 49
Po wiedzę do Opola 53
Liceum dr Stefanii Mazurek 55
Śląska „Nawojka" w Krakowie 63
Ach, to studenckie życie 65
Za głosem serca i rozsądku 69
Prawie wszystko o naszym ślubie i weselu 73

III. Wobec nowych wyzwań **77**
Czy naprawdę potrafię? 77
Historia choroby pisana przez pacjenta 82
Kobieta musi sobie radzić 89
Nowe obowiązki, trudne decyzje 96
Nie potępiłam „warchołów z Radomia i Ursusa" 102
Mieć radość z szarej codzienności 103

IV. Z życia naukowego **105**
Badania terenowe 105
Międzynarodowe kongresy 107

Visiting professor w RFN 124
Nagroda Herdera 131
Historie niektórych moich książek 135
Zaproszenia do TV 143
Niezwykłe przypadki 146

V. Posłanka „z klucza" 153
Pod presją 153
Pamiętna VIII Kadencja Sejmu 154
Stan wojenny 159
„Trumna moralności" 160
Cztery posłanki i pies 165
O urodzinach Kim Ir Sena 166

VI. Senator z wyboru 169
W Senacie RP 172
Wizyta Pani Premier w Opolu 178
Moje senatorskie dyżury 182
„Ludzie wiedzą lepiej" 183
Opowieści z senatorskich podróży 184
Czy jestem *homo politicus* 194

VII. Na ratunek Opolszczyźnie 197
Wielka woda 197
Zaproszenie do programu niemieckiej TV 204
Inicjatywy pomocy poszkodowanym 205
Żal za utraconymi książkami 208
Brońmy swego – opolskiego 213
Utworzenie opolskiej regionalnej TV 222

VIII. Na międzynarodowych wodach 225
Praca w Zgromadzeniu Parlamentarnym OBWE 225
Wyjazdy z ramienia OBWE 229

IX. Nie boję się Niemców 249
Początek kontaktów polsko-niemieckich 249
Lęk Europy przed zjednoczeniem Niemiec 250
Moja praca na rzecz pojednania polsko-niemieckiego 253
Wizyty w Hamburgu 257
Współpraca z Ewangelicką Akademią w Mülheim 259
Międzynarodowe Targi Książki we Frankfurcie 262

„Dzieło Ojca Maksymiliana Kolbego" w RFN 263
Wielki Krzyż Zasługi Orderu Zasługi RFN 265

X. Wielcy i niezapomniani 267
Wspomnienia o Janie Pawle II 267
Wśród koronowanych głów 272
Wielcy kardynałowie 274
Spotkania z prezydentami 281
Wspomnienie o Edmundzie Janie Osmańczyku 289
Przyjaźń z prałatem Stefanem Baldym 292

XI. Moje laudacje 297
Słowo od Wydawcy 317
Indeks osób 319